

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

12

Ciąg dalszy.

Laura zdana na jego łaskę i niełaskę, dała mu się unosić z zupełną rezygnacją.

Gdy wyszli z lasu, postawił ją Kosiara na ziemi i kazał iść za sobą. Po kilkunastu krokach przystanęli przed jakąś chatą, gdzie zapukał on gwałtownie w okno. Wyszedł jakiś człowiek, śnać dobry znajomy Kosiary. Przywitani się krótko i wszyscy troje weszli do środka. Wtedy Laurę zamknięto w jednej izbie i drzwi zaryglowano. Kosiara wyszedł z gospodarzem z chaty na podwórko, gdzie przez chwilę rozprawiali ze sobą.

Drzwi do izby, w której siedziała księżniczka, otwały się tylko na to, żeby zamkniętej podać obfity posiłek, poczem zaryglowały się na nowo.

W kilka godzin później Kosiara wsadził Laurę na wóz i odjechali razem wśród ciemności nocy jakimiś bocznymi drogami, na których było pełno wybojów, a wóz co chwila rozbrzygiwał duże kałuże błota.

Koło północy wysiedli i w towarzystwie jakiegoś młodego żyda przeszli potajemnie granicę. Laura widziała, jak Kosiara opłacał przewodnika. Z zasłyszanych słów ich rozmowy dorozumiała się, że przekradają się przez granicę, ale zorientować się w żaden sposób nie mogła, gdzie się znajdują i którą granicę przekroczyli. Wnioskowała tylko z tego, że naokół nie słyszała innego języka, jak polski — iż muszą się znajdować albo w Galicji, albo w Poznańskim. Za mało bowiem miała doświadczenia i tego rodzaju podróży nigdy jeszcze nie odbywała, jakkolwiek często z ojcem wyjeżdżała za granicę — by mózdz na podstawie pewnych szczegółów charakterystycznych rozpoznać, dokąd ją przyprowadzono.

Jeszcze po nocy najał Kosiara znowu furmankę dla odbycia dalszej podróży, jednakowoż umawiał się z furmanem nie w jej obecności, więc księżniczka i tym razem nie mogła się niczego dowiedzieć.

Podróż trwała krótko i jeszcze słońce nie weszło, kiedy już wysiedli i Kosiara wprowadził ją do małego domku, jak jej się zdawało, na dalekiem przedmieściu jakiegoś większego miasta. Pytał o co nie miała okazji. I tu bowiem zamknięto ją w jednym pokoju na klucz samotną, ofiarując jakies brudne, ciepłe jeszcze po kimś, łóżko.

W domu tym gospodynią była jakaś niebrzydka, młoda baba, która jednak wydała się Laurze istną wiedźmą. Musiała to być jakaś dawna dobra Kosiary znajoma, która lubo wcześniej rozbudzona ich przybyciem, ucieszyła się nim bardzo.

Życie porwanej od boku ojca księżniczki w domu pani Płackowej (tak się ta młoda gospodyni nazywała) stało się dla biednej Laury istnem więzieniem.

Na każdym kroku pilnowano ją dniem i nocą. Poprostu z pokoju wyjść jej nie wolno było na chwilę. Kazano jej spać, kazano jeść i pić, a poza tem nie było jej wolno nic robić. Nie mogąc z nikim rozmawiać, oddana wyłącznie własnemu myślowi rozpaczliwym, czuła się młoda branka z każdą godziną nieszczęśliwszą i coraz bardziej poddawała się zwątpieniu. Byłaby jak najchętniej teraz czytała dużo dla zabicia myśli i czasu, jednakowoż nie miała ani książek, ani gazet w tej swojej niewoli.

Delikatny jej organizm odczuł w wysokim stopniu ową nagłą zmianę trybu życia, to też z każdą chwilą coraz bardziej opuszczały ją siły.

U ojca przez całe życie przywykła do wygod wielkopańskiego domu. Więc nie dziw, że tutaj rażyło ją wszystko, to brudem, to nieestetycznym wyglądem lub przynajmniej prymitywnością urządzeń życia codziennego ludzi nie tylko niezamożnych, ale i nieoświeconych. To też dłuższy pobyt w takich okolicznościach był dla Laury męczarnią, tembardziej, ile że z jednej strony była wielce przygnębiona duchowo skutkiem niepewności swego losu i zwątpienia w możliwość rychłego ratunku ze strony swego ojca, a z drugiej strony poprostu głodziła się, nie mogąc spożywać jadła, które jej tu podawano, nietylko, że nie przywykła do tego rodzaju potraw, ale, że nadto brud mierzził ją tak, iż straciła zupełnie apetyt.

Popadła w apatyę. Dzień spędzała przy oknie, patrząc na dziedziniec, a raczej na skrawek podwórka, zamknięty dla jej wzroku odrapaną z tynku ścianą jakiejś komórki.

Nocą przewracała się na łóżku, nie mogąc za-

śnąć. Chwilami zdawało jej się, że opadnie ją mrowie robactwa. To znów obawiała się zasnąć na dobre w tej myśli, że mógłby kto skorzystać z jej snu twardszego; to też ile razy zdrzemnęła się, zrywała się zaraz z posłania i nadsłuchiwała, imaginując sobie, że już zbliża się do niej Kosiara.

Dla tych samych powodów nie zgodziła się nigdy wypić ani kieliszka wódki, mimo, że Płackowa stawiała przed nią codzień do obiadu i do kolacji butelkę wódki.

Dotychczas gospodyni jej zachowywała się względem lokatorki-niewolnicy, jak niemowa. Parę razy na dzień słyszała Laurę przekręcanie klucza w zamku, poczem drzwi się uchylały i Płackowa w milczeniu wносиła jedzenie, stawiała je na stole, zabierała z poprzedniego naczynie zazwyczaj prawie nieopróżnione — i wychodziła, drzwi zamykając z powrotem.

Głos jej słyszała Laura nieraz za dnia na podwórku, gdy się z kim kłóciła, a zwłaszcza, gdy się mocniej upiła. To znów nocą słyszała ją za ścianą, rozmawiającą po cichu z Kosiara, którego ani widzieć ani słyszeć nie można było nigdy za dnia.

Z rozmów jego z Płackową, mimo nocnej ciszy, nie doleciało do uszu Laury nigdy ani jedno słowo wyraźniejsze, żeby mogła stąd cokolwiek wynioskować.

Zresztą nie zmieniało się nic lubo dni wlokące się powoli, mijały jedne po drugich, a porwana księżniczka do tej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Pewnego wieczora panował straszny wiatr, który zaczął wreszcie rozpędzać nieco chmury deszczowe po parodniowej ślocie.

U Płackowej palono w piecu, w którego kominie musiało się coś popsuć, skoro skutkiem wichru wszystek dym wracał się do pieca i naraz nappełnił całą kuchnię.

Laura w swoim pokoju siedziała po ciemku na stołku pod oknem, zasłuchana w melancholijny plusk deszczu o szyby i jękliwe wycie wiatru trzęsącego dachami, gdy wtem z zamkniętych drzwi czek zimnego pieca w jej izbie zaczął sadzić dym ogromnemi kłębami.

Przeraziła się tem nie mało, a kiedy gryzący dym wraz z sadzą zappełnił cały pokój, Laura zaczęła rękami tłuc we drzwi, wołając:

— Pali się!

Po chwili Płackowa usłyszawszy to, nagle drzwi otworzyła, wpadła do pokoju i zobaczywszy, że jest cały pełen dymu, rzuciła się ku oknu i przewracając w pośpiechu parę doniczek z usychającymi kwiatkami, otworzyła je nie bez trudu na oścież.

— Dobrze przynajmniej, żeś panna krzyczała... byłaby mi sadza wszystko w pokoju zniszczyła... To tak ino wiatr zawraca dym z komina na pokój...

To powiedziawszy, zaaferowana Płackowa pobiegła z powrotem do kuchni, z przyzwyczajenia jednak nie zapomniała drzwi zamknąć na klucz.

Laurę owionęło przejmujące zimno wilgotne, aż się zatrzęsała. Ale dławiąc się dymem, mimowoli wracała ku oknu, lubo wiatr chłodny wpędzał do środka krople deszczu.

Zerwała z poręczy łóżka grubą, w kilkoro złożoną chustkę, która jej nocą służyła za ciepłe okrycie — i owinawszy się w nią, wychyliła się oknem, żeby zaczerpnąć powietrza.

Aż jej się w głowie zakręciło pod wpływem tego świeżego powiewu, którego w swem zamknięciu pozbawiona była tak długo... Doznawała teraz wrażenia podobnego, jak wówczas, gdy na samochodzie pędziła godzinami w Warszawy, uwożona w świat kędyś przez Kosiara...

I jedno westchnienie rozpięło jej piersi w tej chwili.

— Gdyby tak teraz mózdz wskoczyć do czyjegoś samochodu i dać się uwozić z powrotem do Warszawy... stąd uciekać. uciekać...

Sama nie wiedziała, kiedy tą myślą podniecona, przelazła przez okno i na podwórku stanęła na błoście, zatulając się coraz bardziej w chustkę.

Ledwie kilka kroków zrobiła przed siebie, gdy pies na łańcuchu w budzie, koło furtki na drogę, zaczął ujadać rozgłośnie. Cofnęła się więc poza komórkę, która stała naprzeciw jej okna.

Teraz dopiero uprzytomniła sobie, że czekanie psa może zwrócić uwagę Płackowej lub Kosiary, o ile ten byłby w domu — i że ktoś mógłby zajrzeć do jej pokoju...

Więc tembardziej odczuwając konieczność pośpiechu, rozejrzała się, któredy dałoby się co rychlej uciec najłatwiej.

W mgnieniu oka wdrapała się na jakąś skrzy-

nię i przy jej pomocy znalazła się na parkanie, z którego udało jej się powoli zsunąć na pole, gdzie nie natrafiając na żadne przeszkody, zaczęła biec przed siebie.

Wkrótce przystanęła pod jakimś drzewem i oparła się o nie, chcąc wypocząć. Tu zaczęła się rozglądać wokoło. Deszcz ustawał nieco, wiatr tylko hulał po polu, ziębiąc dotkliwie.

Zresztą było cicho i pusto. Nigdzie żywego ducha.

Laurę zdjął strach.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziała nigdzie takiej pustki i nie czuła się tak samotną między niebem a ziemią.

Ale po chwili uspokoiła się pod wrażeniem tej myśli, iż jest nareszcie wolną. Jakaś nadzieja zaświtała w jej duszy, że jeżeli pościg Kosiary za nią nie powiedzie się, to może tym razem zdoła znaleźć sposób powrotu do ojca lub przynajmniej uwiadomienia go o miejscu swego pobytu...

Ale gdzie ona się znajduje?

Z tem pytaniem w myśli ruszyła na oślep przed siebie. Szła długo polami od deszczu rozmokłymi. Wzrok jej powoli tak przywykł do ciemności, że po pewnym czasie rozpoznała z daleka gościniec i żeby się do niego prędzej dostać, zmieniła kierunek drogi.

Na szosie błoto było jeszcze większe, lecz Laura nie sobie z niego nie robiła, idąc przed siebie. Wtem turkot usłyszała. Ukryła się za drzewo i obserwowała. Powoli nadjeżdżała jakaś nędzna fura. W pierwszej chwili imaginacja kazała jej dostrzedz na wozie ścigającego ją Kosiara. Kiedy jednak fura zbliżyła się do drzewa, poza którem stała Laura, można było rozróżnić wyraźnie jadącego podróżnego.

Był to stary żyd, który wiózł jednym koniem ciężkie towary.

Wypadła więc Laura na drogę i wóz zatrzymała.

— Panie... dokąd ta droga prowadzi?

— Do Mogiły — odparł żyd dopiero po chwili, przypatrzawszy się wprzód pytającej.

— Dokąd... do Mogiły... A cóż tam jest?

— Nu, co ma być... to pani nie wie, co jest Mogiła...

— A może mnie pan powie z łaski swojej, gdzie tu jest najbliższe jakie miasto.

Żyd zaczął się śmiać.

— Miasto... Do miasta nie tędy, tylko przeciwnie, w tamtą stronę...

— W tamtą stronę, powiada pan... A jak się nazywa to miasto?

— Pani nie wie, jak się nazywa... To pani nie tutejsza może?

— Naturalnie, że nie tutejsza, nie pytałabym przecież...

— A, to pani chce do Krakowa... to już tutaj, proszę pani... o, tam, gdzie widać dużo światła, do rogatki już niedaleko.

— Więc to Kraków jest... Co pan mówi... A pan nie byłby łaskaw mnie tam podwieźć do miasta?

— Jakżeż ja mogę panią podwieźć, kiedy ja właśnie jadę z miasta. Gdybym nie był z towarem, to mógłbym nawrócić, ale tak, to nie mogę. Niech pani idzie tam prosto, jak jest droga, a zajdzie pani za niedługo na rogatkę, to pani tam powiedzą, któredy iść na jaką ulicę, gdzie pani potrzeba.

Wóz ruszył z miejsca, a Laura podziękowawszy, oddaliła się w przeciwną stronę, strapiona, a zarazem pocieszona.

— Kraków... Przecież nie sposób, żebym sobie nie dała rady w Krakowie... Tam chyba potrafię zawiadomić ojca o tem, gdzie mnie ma szukać.

W drodze po gościńcu nie spotykała nikogo, ale szła bardzo uważnie, żeby każdej chwili ukryć się w rowie, za drzewem, czy za kupą kamieni, gdyby tylko kto przejeżdżał lub przechodził; w szczególności miała na myśli mężczyzn, lubo o tej porze i tak nie można było spodziewać się kobiet na zamiejskiej szosie.

— Gdyby to nie noc — myślała sobie Laura, pełna trwogi o to, jak sobie poradzi do dnia białego.

Naraz rozpoznała a raczej domyśliła się, że mija rogatkę miejską. Nie orientując się w tych rzeczach, wyobrażała sobie, że jest zupełnie możliwą rzeczą aresztowanie jej za nocne włóczęgostwo, przypuszczała bowiem, że na rogatce czuwa policja a nie straż cłowa. Uradowała się tedy ogromnie, gdy spostrzegła, że udało się jej przekroczyć rogatkę, a nikt jej nie zauważył, ani nie zatrzymał.

Zaniepokoiła się trochę, kiedy minawszy rogatkę, nie zastała, będąc już w obrębie miasta,